

Warszawa, 6. 10. 2017

Maciej Wojtyszko

Recenzja pracy doktorskiej

„Poszukiwanie wolności”

Budowa świata przedstawionego na podstawie  
monodramu autorstwa Jarosława Sokoła

„Promieniowanie” oraz dorobku artystycznego i  
pedagogicznego pani magister Ewy Wencel

Pani Ewa Wencel jest znakomitą aktorką. Jej umiejętności zawodowe pozwoliły na podjęcie jednego z najtrudniejszych wyzwań scenicznych czyli przygotowania monodramu. A skoro już powstało udane przedstawienie, warto prześledzić proces jego powstawania.

Tak najprościej można by opisać wiodące założenie doktoratu pani Ewy. Jednak najważniejsze i najcenniejsze informacje kryją się nie w tym prostym opisie a w próbie samorozumienia i analizie procesu twórczego, analizie ważnej, bo szczerzej i wnikliwej.

Sam spektakl jest udany. Nawet profesjonalista- oglądając go - szybko zapomina, że po scenie nie chodzi prawdziwa Maria Curie i zaczyna po prostu śledzić uważnie los bohaterki. Większość z nas posiada mniejszą lub większą wiedzę o losach polskiej noblistki, ale Jarosław Sokół świetnie uporządkował i udratyzował swoją opowieść, niezwykle sprawnie omijając pułapki prostego dydaktyzmu, banalnej czytankowości czy zbyt intencjonalnego komentarza.

Od razu wprowadzeni w środek historii, widzowie składają w swojej świadomości przez cały czas trwania spektaklu portret niezwyklej kobiety, kobiety, która podjęła wiele wyzwań,

która walczyła, cierpiała, kochała i której zwycięstwa jako uczonej gorzko wiązały się z dramatami życia osobistego.

Zawsze, gdy oglądam w sztuce próbę odtworzenia postaci historycznej, pojawia się niepokój związany z faktem, że „udawanie” Einsteina, Szekspira, Bethovena czy Chopina grozi ich pomniejszeniem, okaleczeniem, odebraniem wielkości poprzez stworzenie portretu ułomnego, jednowymiarowego.

Czasem, jak w przypadku Mozarta sportretowanego w „Amadeuszu” Petera Shaffera, ukazanie geniusza jako twórczego głuptasa jest zabiegiem świadomym. Częściej daleko posunięte zewnętrzne podobieństwo jeszcze bardziej jaskrawo udowadnia, że istnieją wyraźne różnice pomiędzy spójnym kształtem zewnętrznym a znacząco odmienną strukturą bogactwa wyobraźni odtwórcy.

Na szczęście w tym wypadku ani przez chwilę nie miałem tego uczucia.

Mówiąc kolokwialnie, aktorce „wystarczyło duszy” aby stać się wiarygodną Marią Curie-Skłodowską.

Jak do tego doprowadziła? Sądzę, że recepta kryje się zarówno w pracy doktorskiej opisującej kolejne kroki podejmowane przez aktorkę jak i w czymś bardzo niewymiernym i wymykającym się opisowi, a co da się określić jedynie słowami „osobowość twórcza”.

Pani Ewa ma swoją osobowość, swoje własne promieniowanie. Nie musi sięgać daleko, aby zrozumieć troski i wyzwania człowieka tworzącego, ponieważ sama tworzy. Pisanie scenariusza odbiega, naturalnie w szczegółach, od poszukiwań naukowych ale również ma z nimi wiele cech wspólnych – konieczną samodyscyplinę, ciągłą gotowość do znajdowania nowych rozwiązań, sztukę czerpania z materiałów źródłowych, pasję i umiejętność wytrwałego skupiania się na celu.

Wbrew pozorom komuś, kto podjął wysiłek bycia twórcą niezależnym (wszystko jedno w jakiej dziedzinie), znacznie łatwiej zrozumieć skalę pracy i wyzwań stojących przed poszukującymi rozwiązań podobnie twórczym naukowcem.

Czy ktoś, kto przyjmuje swoje zadanie aktorskie jako jedynie odtwarzanie powierzonej roli, byłby w stanie wykreować aż tak wiarygodny portret Mari Curie? Wątpię. Odtwórca,

wykonawca - to określenia trafne przy innego typu wyzwaniach aktorskich. Nie deprecjonując tych innych wyzwań, czasami pasjonujących i niezbędnych, śmiem twierdzić, że w przypadku monodramu nie można być tylko „wykonawcą”. Zwłaszcza, jeżeli bohaterką lub bohaterem jest osobowość twórcza.

Mogę się mylić, znam osoby, które z radością opowiadają anegdoty o aktorach prywatnie niespecjalnie bystrych a na scenie sprawiających wrażenie wręcz przeciwne. Sądzę jednak, że tak jak trudno zagrać postać Niżynskiego aktorowi niesprawnemu fizycznie, tak rola Marii Curie zarezerwowana jest dla aktorek obdarzonych głębszą świadomością dotyczącą pewnych procesów myślowych.

Na szczęście w tym wypadku zarówno samo przedstawienie jak i praca zaprezentowana przez panią Ewę Wencel potwierdzają słuszność mojej tezy.

Praca pani Ewy to bardzo rzetelny, wnikliwy i fachowy opis doświadczeń związanych z bardzo samodzielnym i bardzo profesjonalnym dochodzeniem do efektów.

Chwilami wzruszający poprzez szczere i rzetelne opisanie rozterek oraz pomyłki podobne do tych, o których mógłby opowiadać ktoś, kto po raz pierwszy startuje w triathlonie lub przepływa Atlantyk kajakiem.

Nie da się bowiem ukryć, że monodram jest konkurencją wyjątkową. Stopień trudności, zorganizowanie sobie czasu i przestrzeni, panowanie nad rytmemi, możliwie najtrafniejsze wykorzystanie atutów i możliwości zarówno własnego ciała jak i wszystkich warstw wspomagających - takich jak dźwięki, światło, muzyka, kostium, rekwizyty - czynią to wyzwanie niezwykle trudnym.

I pani Ewa przedstawia krok po kroku swoją nadzwyczaj ważną, nową przygodę. Nie dającą się porównać z żadną inną przygodą teatralną.

Oryginalną również przez fakt, że autor tekstu żyje, uczestniczy w procesie narodzin swojego dramatu i skłonny jest do negocjacji.

Jarosław Sokół to partner nie do przecenienia, autor ale także ktoś, kto chce współdziałać, czeka na propozycje, gotowy jest do korekt w imię poprawienia końcowego efektu.

Akceptuje zmiany i cięcia aktorki, przecież również doświadczonej scenarzystki.

Czy można przy tak ustawionych relacjach ustalić, do jakiego stopnia na afiszu powinny być nazwiska obojga autorów?

Przypuszczam, że nawet dla nich jest to zadanie skomplikowane. Tego typu dzieła powstają w specyficznej symbiozie, a decyzje estetyczne rodzą się jako efekt długotrwałych dyskusji.

Teatr staje się wspólnym laboratorium, a więc i modelem wspierającym zrozumienie „Marii z laboratorium”. Paradoksalnie, im bardziej aktorka wciela się w swoją postać, tym bardziej odnajduje tam samą siebie.

Proces jest długotrwały, świadomy i słusznie określony przez panią Ewę jako poszukiwanie wolności. Zapewne filozofowie i psychologowie obruszyliby się na próbę zdefiniowania wolności jako udanego występu scenicznego, a jednak w tym prowokacyjnym sformułowaniu kryje się wiele prawdy.

Pani Ewa słusznie odwołuje się do dwóch ważnych mistrzów głoszących podobne poglądy - Michaiła Czechowa i Petera Brooka.

Lansują oni silne przekonanie, że dzięki dobrze przeprowadzonej analizie dotyczącej celów i samopoczucia scenicznego, dzięki uporządkowanemu treningowi samoświadomości aktor uzyskuje znacząco większą swobodę, niejako interioryzuje swoje istnienie, przeżywa rodzaj satysfakcji i spełnienia, który możemy nazwać wolnością.

Uważam, że to przekonanie jest prawdą ważną, choć - jak wiele prawd sztuki - trudną do udowodnienia.

Na pewno - pracując nad emocjami - można prawie „rozpuścić się” w kreowanej przez siebie postaci. Na pewno jest w tym trudna do opisanego zagadka podświadomości - jest się równocześnie sobą jak i graną przez siebie osobą. I na pewno mamy do czynienia z doświadczeniem granicznym, o którym nie wszystko da się opowiedzieć przy pomocy słów.

Pani Ewa Wencel nie tylko jest znakomitą aktorką ale też doskonale pisze. Lektura jej pracy stanowi świetne uzupełnienie spektaklu, może posłużyć jako cenna pomoc naukowa zarówno aktorom jak i reżyserom przymierzającym się do prac nad monodramem.

Ze swojego doświadczenia jako reżysera kilku monodramów, mogę tylko powiedzieć, że w tej specyficznej kategorii teatralnej najbardziej liczy się osobowość aktora i szybkie

uwrażliwienie widza na znaczenie drobiazgów. Kamień w ręku natychmiast urasta do rangi metafory, a zmiana światła to niewątpliwa zmiana całej rzeczywistości. Liczy się też naturalnie umiejętne żonglowanie nastrojami widzów, wciąganie ich w świat bohatera.

Ponieważ wspólne dzieło pani Ewy Wencel i pana Jarosława Sokoła spełnia wszystkie powyższe warunki, znakomite recenzje i entuzjastyczne przyjęcie są w pełni uzasadnione.

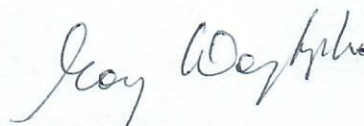
Dorobek artystyczny pani Ewy jest znaczący. W teatrze grała role wiodące i to zarówno w dramatach jak i w lekkich komediach. Podobnie w telewizji. W filmie zasłużenie zbierała laury (również międzynarodowe) za wspaniałą rolę w „Placu Zbawiciela” Krzysztofa Krauzego.

Należy do nielicznej grupy aktorek piszących zawodowo scenariusze i dialogi (osobiście potrafię wymienić jeszcze dwie).

Jako dydaktyk spełnia się od pewnego czasu w PWSTiF w Łodzi i - o ile mi wiadomo - robi to z powodzeniem.

Uważam, że zarówno talenty pani Ewy jak i jej mądra, wnikliwa postawa wobec pracy artystycznej w pełni uzasadniają jej starania o uzyskanie stopnia doktora.

W mojej ocenie jej osiągnięcia i przedstawiona praca  spełniają warunki artykułu 16 ustawy z 14.marca 2003 roku (z późniejszymi uzupełnieniami) i wnioskuję o przyznanie pani Ewie Wencel stopnia doktora sztuki.



Maciej Wojtyszko